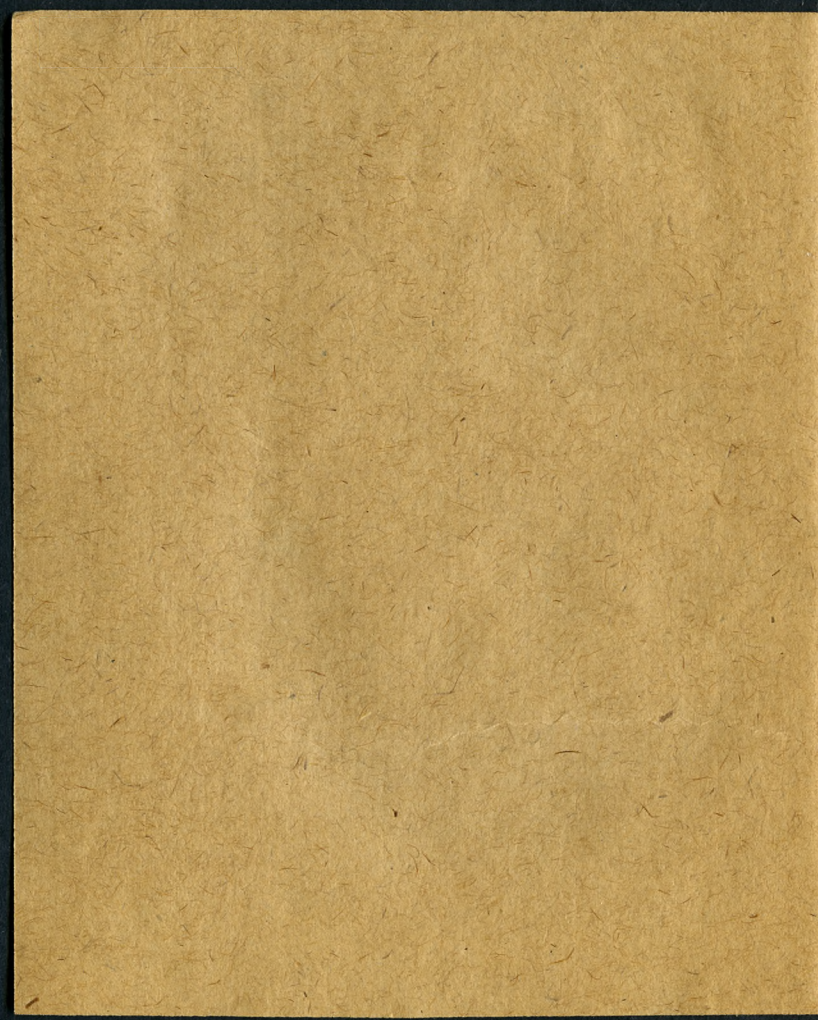
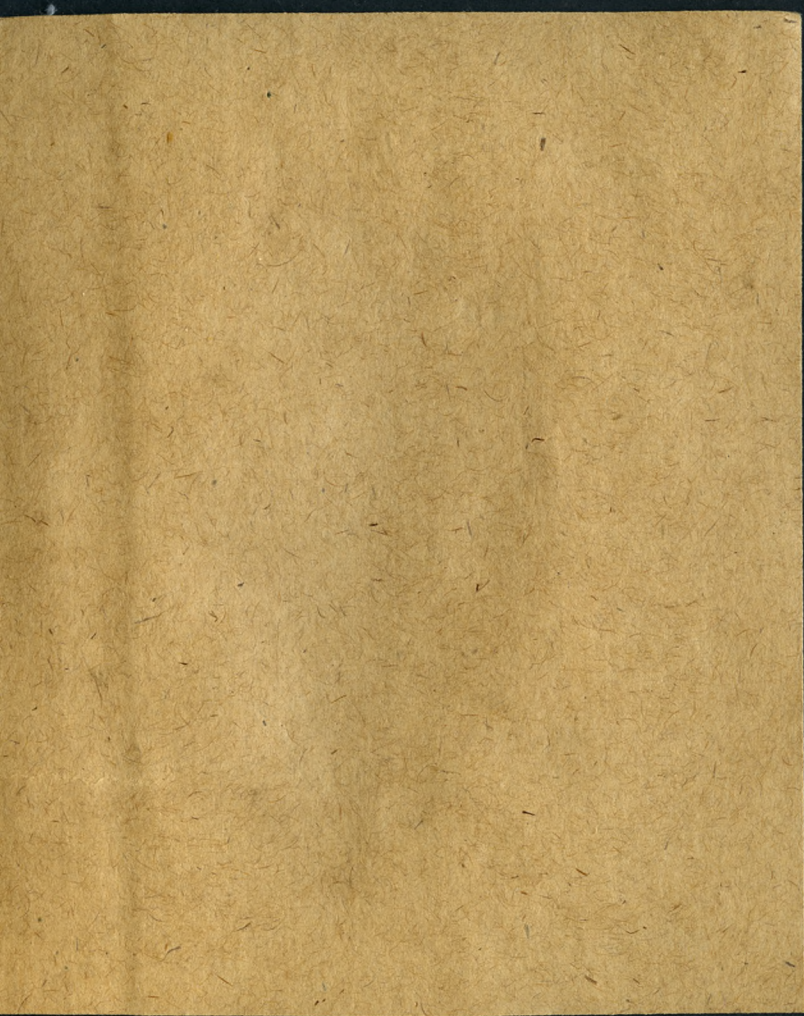


37417

Marczewska Michalina. - Niepoprawni

psotnicy







KSIEGOZBIOREK DZIECIĘCY

*Pm*  
*Man*  
*n*

*nr 103*

# NIEPOPRAWNI PSOTNICY

Opowiadanie.

napisała

**Michalina Marczevska**

z ilustracjami

*Nr 70*

R. G. O.

POLSKI KOMITET OPIEKUNICZY w WARSZAWIE  
Sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę  
Otwock, ul. Konopnickiej 17

NAKŁADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA”  
WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 141.

*[1932]*

*brak w NKO*

D 93/113  
1987



MKD 37417

Ucieszyli się rodzice Stasia, kiedy przyjęto go wreszcie do szkoły. Byli to ludzie dobrzy, rozsądni i pragnęli swemu jedynakowi jaknajlepiej zapewnić powodzenie i być szczęśliwy w przyszłości.

Dlatego też kiedy Staś z książkami ruszył do szkoły, ojciec przeprowadził go aż na ulicę, nie szczędząc rad i przestróg, matka zaś dała mu na drugie śniadanie smaczną bułeczkę z masłem, przekładaną serem, słodkie ciasteczko i w dodatku dwa duże malinowe karmelki.

Stasio przepadał właśnie za malinowymi karmelkami.

Niestety nie miał on wcale ochoty do książki.

W jego małej główce pełno kręciło się pomysłów do najrozmaitszych figlów i psot, które zajmowały mu czas cały, potrzebny do nauki. Idąc do szkoły, myślał tylko o tem, jakby swoich kolegów pobudzić do śmiechu wśród lekcji, albo jakby w przerwie między lekcjami wleźć na rosnące tuż przed szkołą drzewo, bądź na dach szkolnego domu, czego profesor bardzo nie lubił.

Po drodze do szkoły, Stasia również zajmowało masę rzeczy, nie mających nic wspólnego z nauką.

Czy to padł koń u wozu, lub z innego powodu powstało na ulicy zbiegowisko, Staś stawał i gotów był się przyglądać cudzemu nieszczęściu godzinami, zapominając zupełnie, że lekcje się już dawno zaczęły.

Naturalnie sprowadzało to nań kary, które jednak wcale nie uważał za zasłużone, gniewały go one raczej i utrwały w przekonaniu, iż jest niewinny a tylko przez profesora prześladowany.

Pozaczem niewiele sobie z tego robił, gdyż dzień następny przyniósł nowe wydarzenia na ulicy, zajmujące go znowuż tak bardzo, że zapominał o karach i napomnieniach i już ciż o rozpoczynanych regularnie o zapowiedzianej godzinie lekcjach.

Tuż poza domem rodziców Stasia rozpościerała się rozległa zielona łączka, przez którą przepływał dość wartki i głęboki strumień, tworząc od czasu do czasu coś z rodzaju małych jeziorzek, w których pluskały się małe żabki, kwaczące po zachodzie słońca.

Łączka ta była ulubionem miejscem wycieczek Stasia. Spacerował on tam nie-

raz w towarzystwie rodziców, zbierając barwne kwiatki, wybiegał czasem po południu, kiedy pogoda była piękna a słońce grzało przyjemnie, nieraz wykradał się tam wieczorami, kiedy koncert żabi wyciągał z mieszkań okolicznych wielu sąsiadów, szukających przyjemnej ochłody po męczącej dnia spiekocie.

Stasia zaś interesowały żabki, skaczące tak zabawnie po murawie, lub wysiadujące nieruchomo na wystających z wody kamieniach.

Kiedy w drodze do szkoły, Staś nie zauważył nic ciekawego na ulicy, zbaczając zazwyczaj na ową łączkę, aby nacieszyć się żabkami. A jeśli którą udało mu się złapać to niósł ją do szkoły, kontent, że ma pomysł do nowego psikusa.

W szkole zaś wśród kolegów dobrał sobie odpowiedniego towarzysza, który



również jak i on nie czuł wielkiego do książek zamięłowania.

Było mu na imię Grzesio.

— Patrz, Grzesiu, mam żabkę, widzisz! — wołał Staś już zdaleka, pokazując towarzyszowi swoją zdobycz.

Grzesio ucieszył się bardzo.

— Ho ho!.. A gdzieżeś ty ją znalazł?... Dajno mnie, może zrobimy sobie wesołą zabawę.

Staś był ciekaw tej zabawy wesołej. Dał żabkę Grzesiowi.

— Znalazłem ją na łączce za naszym domem. Tam jest tych żabek bardzo dużo.

— Bardzo dużo?...

Grzesio miał już pomysł nielada.

— O jak bardzo dużo, to poczekaj. Zrobimy tę rzecz jeszcze inaczej. Uśmiejesz się, uśmieją się wszyscy. Pójdziemy na łączkę jutro rano. Musimy mieć żabek więcej.

Jak umówili się tak też się stało.

Dnia następnego obydwaj chłopcy nałapali żabek sporo i przed lekcjami ponieśli je do klasy. Mieli je w dwóch puszkach, używanych do zbierania okazów.

— Jak się zacznie lekcja — rzekł Grzesio — będziemy żabki wypuszczać po jednej. Zobaczysz co z tego powstanie za uciecha.

Była już ciż wśród chłopców uciecha wielka, kiedy wkrótce po przyjściu pana profesora, żabki wypuszczone z puszek po jednej, zaczęły skakać po klasie na wszystkie strony.

Harmider powstał, zgiełk wielki, chłopcy powybiegali z ławek, zaczęła się pogoń za żabkami, aż pan profesor musiał się gniewać bardzo i począł szukać wśród uczniów winnych.

Nikt jednak nic nie wiedział skąd

się żabki wzięły, bowiem Staś z Grzesiem splatali figla w wielkiej tajemnicy.

— Ja nic nie wiem!

— I ja także.

Zapewniali, kłamiąc i upiekło im się tym razem, chociaż cała klasa za karę całe pół godziny później niż zwykle została wypuszczoną na obiad do domu.

Zbytncy śmieli się do rozpuku.

— Mówilem ci, że będzie wesoło! — wołał Grześ, kiedy się znaleźli już na ulicy.

— Mówiłeś — przyznawał mu Staś, trzymając się za boki.

Zasmakował obydwum figiel bezkar-ny i zaczęli myśleć teraz coby się nowego w tym rodzaju splatać dało.

Po paru dniach do szkoły przyniósł Grześ świerszcza i pokazał go jużciż swemu przyjacielowi.

— Co to! — zapytał Stasio, który świerszcza zobaczył po raz pierwszy.

— A świerszcz—objaśnił go Grześ.— Robaczek taki co za kominem świerszczy. Nie słyszałeś?... O patrz: on ma te tylne łapki jakby pileczki zębate, jak niemi po skrzydełkach pociągnie niby smyczkiem po skrzypkach to taki tyrkotliwy głos wydobywa.

— Proszę! Nie wiedziałem! — zdziwił się Stasio. — A skądś ty go dostał?

— A w naszym mieszkaniu, w sionce, w belkach u pułapu kilku ich siedzi i tak skwierczą nieraz przez całą noc, że aż głowa boli.

— Kilku ich siedzi? — zaciekał się Staś i tym razem jemu przysłała do głowy nowa psota. — Słuchaj — szepnął przyjacielowi — wydostańmy ich stamtąd wszystkie i wsadźmy każdego w pudełeczko drewniane z dziurkami jak w klatkę, to będą nasze kanarki. Postawimy ich zrana przed lekcją na piecu i zro-

bimy wielką zabawę. Co to śmiechu będzie! Pan profesor namozoli się dobrze zanim po nich na piec wlezie!

— A jak my się tam, dostaniemy?—  
zapytał Grześ.

— To już moja w tem głowa.

Jak umyślili tak też i wykonali zamiar szybko.

Już dnia następnego cztery świersz-  
cze znajdowały się w pudełeczkach dREW-  
nianych podziurkowanych, a obydwaj zbyt-  
nicy biegli do szkoły ile mogli najwcześniej.

W klasie nie zastali nikogo. Mogli  
się zabrać do roboty bez przeszkody.  
Szybko przynieśli z dziedzińca drabinę,  
którą Staś już dawno był zauważył pod  
ścianą domu przystawili do pieca i za-  
nim kto z uczni pojawił się wreszcie,  
cztery świerszce znajdowały się na piecu,  
z drabiny zaś ani śladu. Wynieśli ją u-

myślnie jaknajdalej i ukryli w najciemniejszym kącie.

Zjawił się nauczyciel, rozpoczęła się lekcja, cisza zapanowała w klasie i w ciszy tej zaświerkotały świerszcze niczem grzechotki jakie, aż zdumieli się w pierwszej chwili wszyscy a pan profesor zagniewał srodze.

— Co to znowuż za figiel?!... który z was tak trajkocze?!...

Naturalnie wzmogło to jeszcze wesołość powszechną, gdyż wiadomo, że mali uczniowie kontenci są bardzo jeżeli mogą przerwać lekcję, podczas której muszą zachowywać się spokojnie.

Zaczęli zrywać się z miejsc i wołać jeden przez drugiego.

— To nie ja! Panie profesorzel

— Ani ja!

— Ani ja!

Finke 0711

Znowuż powstał hałas i nieład wielki aż biedny profesor musiał przeszukać wszystkie ławki i namozolić się długo zanim, idąc za głosem, przekonał się gdzie znajdują się zakłcające spokój świerszcze.

Gorzej rzecz poszła ze zdjęciem ich z pieca, gdyż Grześ ze Stasiem tak schowali drabinę, że cała klasa szukać ją musiała bardzo długo, przetrząsając wszystkie kąty dziedzińca, zanim ją wreszcie pod płotem za deskami znalazła.

Czasu stracono wiele, ale pomimo, iż znowuż cała klasa musiała odsiedzieć straconą lekcję i zwolnioną została od zajęć szkolnych dobrą godzinę później ani Grzesio, ani Staś nie myśleli przyznać się do winy. śmiejąc się w duchu z zapewnień pana profesora, że psoty tego rodzaju zostaną wreszcie ukarane tak czy inaczej i że kara na zbytników przyjdzie

sama przez się i może być znacznie surowszą niż oni sami przypuszczają.

Obydwaj przyjaciele nie przywiązywali do tych słów żadnego znaczenia.

— To nieprawda—twierdził Grześ.— Jak nas nie złapią to nic się nam stać nie może. Ja w to nie wierzę.

— I ja także — potakiwał mu Stasio, również pewny, że aby tylko nie wydały się ich psoty, ujdą im wszystkie bezkarnie.

— Ale cośmy się przytem naśmiewali — przypominali sobie wzajemnie, aby upewnić się jeszcze w tem błędnem przekonaniu, gdyż gdzieś w ich sumieniach rodzić się zaczął już głos ostrzegawczy, że każdy zły czyn musi spowodować złe skutki i dla samych winowajców.

— Miłe złego początki, lecz koniec żałosny — przypominało im się przysło-

wie, o którym często słyszeli przecież i w szkole i w domu, ale niestety obydwa puszczali to mimo uszów, pewni, iż szczęście sprzyjać im będzie w ich figlach bez końca.

A w główkach im były naprawdę tylko figle i psoty.

Po historii ze świerszczami, która skończyła się dla nich pomyślnie, rozzuchwaleni zbytnicy poczęli przemyśliwać nad czemś coby naprawdę doprowadziło profesora do rozpacz.

— Uczy on nas tyle godzin dziennie, każe nam siedzieć grzecznie jakbyśmy byli lalkami z porcelany, musimy go raz nauczyć, jak trzeba się nieraz ruszać, biegać, latać, skakać i wymachiwać rękami. — Wiesz co zrobimy? — zapytał Staś Grzesia.

— A nie wiem — odparł Grześ zaciekawiony.



W.K.

— Cały rój pszczół wpuścimy mu do klasy.

Myśl to była już bardzo zuchwała i złośliwa, tak, że Grzesia zdjął strach w pierwszej chwili.

— Ależ one nas pokąsają także — zawołał.

— Nie bój się — uspokoił go towarzysz — znajdziemy na to sposób doskonały. Ja wiem jak się to robi. Nasz sąsiad obok ma pasiekę; widziałem go nieraz podkurzającego ule.

I rzeczywiście, obok domu, zamieszkiwanego przez rodziców Stasia, stał domek pewnego staruszka, który w dużym ogrodzie utrzymywał pszczoły, zajmował się nimi z zamiłowaniem i nieraz wydobywał z uli soczyste plastry miodu, czemu można się było przyglądać zdaleka zupełnie bezpiecznie.

I Stasiowi, który wścibił swój mały nosek wszędzie, robota ta wydała się bardzo prostą. Trzeba było tylko pod ulem rozpaścić trochę zielska, tak, aby dym wypłoszył z wnętrza pszczoły, które potem można było nałapać w pudełka ile się komu spodoba i w klasie wypuścić jak przyjdzie odpowiednia godzina.

— To będzie dopiero zabawa! — wołał rozgorączkowany, w przekonaniu, że wypuszczone przez nich pszczoły mogą i powinny tylko całym rojem obsiaść pana profesora. Będziemy pękać ze śmiechu jak on zacznie machać rękami.

— Będzie wyglądał jak ten wiatrak w polu, którego śmigły wiatr kręci dookoła! — dorzuczał Grześ, zaufawszy zupełnie przyjacielowi, że sztuka uda im się jak i poprzednio.

Co prawda, wykonanie tego zamie-

rzenia nastęczało wiele trudności i wymagało sporo czasu. Trzeba było doczekać się takiej chwili, w której staruszek pszczelarz wyszedłby z domu na parę conajmniej godzin, na tę chwilę należało mieć już wszystko potrzebne do zamierzonej roboty w pogotowiu, pozaczem musiało się to stać również w porze jaknajmniejszego ruchu na ulicy, jakkolwiek bowiem ule stały w ogrodzie dosyć zarosniętym krzewami i drzewami owocowymi, to jednak mimo żywopłot wysoki widać je było zdaleka jak na dłoni.

Chłopcy wyczekiwali sposobności długo.

Lecz oto przyszedł dzień, w którym wszystko złożyło się jaknajlepiej.

Wypadła niedziela, czas piękny słoneczny. Po południu wszyscy mieszkańcy okolicy pociągnęli gromadnie na łączkę,

w ulicy zapanował spokój zupełny i staruszek pszczelarz wyszedł z domu do kościoła na nieszpory. Widzieli go obydwa zbytnicy jak zamykał drzwi do swojej sieni na klucz i jak niósł pod pachą swoją grubą książkę do nabożeństwa.

Staś spojrzał na Grzesia, Grześ kiwnął mu głową potakująco i nie zamieniwszy ze sobą ani słowa porozumieli się zupełnie.

W milczeniu pobiegli po przygotowane ziele, po pudełka i zapalki i pochustki na głowy, które miały ich bronić niejako przed ukąszeniami rozgniewanych owadów. W milczeniu, oglądając się na wszystkie strony, trwożnie zbliżali się do uli. Przebyli druty kokczaste, dzielące ogród od ulicy, przedarli się przez żywopłot, jakkolwiek podrapali sobie twarze i chyłkiem, nadstawiając uszów jak zające szli w głąb ogrodu.

Od domku staruszka zawarczał i zaszczeakał gwałtownie czarny pies, poczuwszy węchem obcych. Był on jednak przywiązany na łańcuchu i bronił więcej przystępu do domu niżli do pasieki, o którą staruszek jakby się wcale nie troszczył.

Jeszcze parę kroków, jeszcze parę trwożnych spojrzeń na prawo i na lewo i oto Staś z Grzesiem znaleźli się koło uli. Serca im biły trwożnie tak, iż niemal słyszeli ich uderzenia wśród głębokiej cizy, panującej w tej części sadu.

Tylko od czasu do czasu, brzęczenie wracającej z pola pszczołki wskazywało, że w ulach wre życie i nieustanna praca.

Chłopcy wybrali sobie ul z brzoza, największy, podrzucili pod niego wysuszone zielsko, gałęzie choiny, Staś sięgnął po zapalki i za chwilę buchnął płom.

mień lecz wcale nie taki jakiego się spodziewali.

Ogień wystrzelił wysoko, objął ul, który opleciony słomą zaczął się palić, chłopcy skoczyli gasić niebacznie spowodowany pożar. Staś i Grześ dusili ogniste iskry chustkami, bijąc po ścianie ulla z całej siły, kiedy pszczoły, zrozumiałwszy widoocznie, że ktoś nieumiejętny dobiera się do ich słodkich zapasów, całym rojem rzuciły się na zbytników.

Daremnie krzyczał w niebogłosy Staś, zmykając przed rozgniewanemi owadami, daremnie wtórował mu Grześ, przewracając się po drodze i kryjąc kąsaną twarz w trawy; nikt ich nie mógł nawet słyszeć. Dzień był piękny słoneczny, wszyscy mieszkańcy okolicy znajdowali się na łączce, w ulicy pustej panował spokój zupełny.

Staś i Grześ ledwo uciekli z życiem  
przed pszczołami.

Chorowali potem długo i ciężko.

— Miłe złego początki... — przycho-  
dziło im na pamięć w chorobie.

K O N I E C.

MKD 37417

R. G. O.  
POLSKI KOMITET OPIEKUNCY W WARSZAWIE  
Senatorium dla dzieci chorego i głuchego  
Otwarcie ul. Kanapki 17



